

Izrael Joszua Singer

Bracia Aszkenazy



Izrael Joszua Singer

BRACIA ASZKENAZY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68384-70-3

Przekład: zespół Wydawnictwa Estymator na podstawie tłumaczenia Stefana Pomera

Autorskie prawa majątkowe do tego przekładu posiada Jacek Chołoniewski

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Pamięci najukochańszego syna Jaszy, który zgasł w kwiecie swej młodości

Spis rozdziałów

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)
[Rozdział 50](#)
[Rozdział 51](#)
[Rozdział 52](#)
[Rozdział 53](#)
[Rozdział 54](#)
[Rozdział 55](#)
[Rozdział 56](#)
[Rozdział 57](#)
[Rozdział 58](#)
[Rozdział 59](#)
[Rozdział 60](#)
[Rozdział 61](#)
[Rozdział 62](#)
[Rozdział 63](#)
[Rozdział 64](#)
[Rozdział 65](#)
[Rozdział 66](#)
[Rozdział 67](#)
[Rozdział 68](#)
[Rozdział 69](#)
[Rozdział 70](#)
[Rozdział 71](#)
[Rozdział 72](#)
[Rozdział 73](#)
[Rozdział 74](#)
[Rozdział 75](#)

Prolog

Po piaszczystych drogach, prowadzących z Saksonii i Śląska do Polski – przez lasy, wsie i miasteczka, zburzone i spalone po wojnach napoleońskich, ciągnęły jeden za drugim wozy pełne mężczyzn, kobiet, dzieci i dobytku.

Polscy chłopcy pańszczyźniani zatrzymywali swoje pługi w środku pola i osłaniając dłońmi oczy przed słońcem i kurzem, gapili się rozszerzonymi niebieskimi oczyma na ciągnące wozy i ludzi. Chłopki opierały się rękoma na motykach i zsuwały z głowy czerwone chustki, aby móc lepiej widzieć. Lnianowłose dzieci w samych tylko grubych, zgrzebnych koszulkach wybiegały razem z psami z lepianek przed plecione, wiejskie płoty i witały przejeżdżających krzykiem i wrzaskiem. A przed drzwiami wiejskich karczm stały żydowskie bachorki o czarnych, kręconych pejsach, z tałescycesami zwisającymi na podartych porciętach i wybałuszonymi, czarnymi, zdziwionymi oczyma patrzyły na wozy, które ciągnęły w długim szeregu, powoli i ustawicznie.

– Mamo! – wołały do swoich matek, karczmarek – chodź zobaczyć, mamo!

Dziwne to były wozy i ludzie, którzy przejeżdżali przez polskie drogi. Wozy nie były ani wielkopańskie, ani wiejsko-drabiniaste, o dwóch wąskich i długich drabinach po bokach, ani żydowsko-furmańskie z połatanymi bokami i wiadrami zwisającymi u podwozia, ani pocztowo-dyliżansowe, zaprzężone w czwórkę koni i z trębaczem na koźle. Także konie przy wozach miały inną uprzęż, o wielu skórkach, paskach i rzemieniach, czego w Polsce nie widywano. A ludzie, którzy jechali na tych wozach, byli zupełnie inni niż miejscowi.

Wozy były rozmaite. Jedne szerokie, na ciężkich, wysokich kołach, zaprzężone w parę dobrych koni. Inne lekkie, sklecone byle jak, ciągnięte przez jedną szkapinę. Inne znów jakby całe domy, ze ścianami i dachem, takie, w jakich jadą wędrowni komedianci i cyrkowcy; inne wreszcie o krytej płótnem budzie, takie, w jakich używają Cyganie. Pomiędzy wozami przewijały się również małe wózki, zaprzężone w dwa duże psy, lub ciągnięte przez mężczyznę i kobietę, a popychane z tyłu przez dzieci.

Podobni do wozów byli ich właściciele. Na wozach-domach leżeli rozwaleni tłuści i brzuchaci Niemcy, o jasnych brodach, golonych z przodu, a rosnących na szyi, z fajkami w gębach i zegarkami w kieszeniach. Koło nich krzątały się opasłe Niemki, w czepkach na głowach i w drewnianych sabotach na czerwonych, wełnianych pończochach, opinających grube łydki. Ich wozy były pełne dobytku, pościeli, odzieży, sztuk sukna, oleodrukowych portretów niemieckich królów i zwycięskich bitew, a poza tym zawierały jeszcze koniecznie Biblię i po kilka modlitewników. Gęsi, kury i kaczki nie przestawały gdać i gęgać w kojcach. Króliki i morskie świnki skakały, piszcząc i kwicząc w klatkach wyłożonych sianem. A na zewnątrz, przywiązane sznurami do tyłu wozów, kroczyły krowy – ciężkie, wielkie i o pełnych wymionach.

Właściciele mniejszych wozów byli tacy chudzi i spracowani jak ich szkapiny, wlokące się po wyboistych drogach z opuszczonymi aż ku ziemi łbami. Jeśli z tyłu postępowała krowa, to była chuda i niedojna. Na wozach siedziały tylko małe dzieci. Rodzice i starsze rodzeństwo szli obok, popychali koła i popędzali konia.

Zabiedzeni, zgłodniaли i bosi byli ci najubożsi, którzy sami ciągnęli swoje małe wózki, albo zaprzęgli do nich psy. Prócz dzieci i niepokąźnych zawiniątek wieźli kilka kur i królików. Rzadko który posiadał jeszcze kozę. Kobiety na równi z mężczyznami ciągnęły wózki.

Wszyscy jednak wędrowcy, bogaci czy ubodzy, wieźli jedną rzecz taką samą, a mianowicie drewniany tkacki warsztat, sporządzony z gładkich drewnienek i deszczulek, i powiązany sznurkami.

– Niech będzie pochwalony! – witali przejeżdżających chłopcy i dziewczynki. – A dokąd to jedziecie, ludzie?

Wędrowcy nie odpowiadali na pozdrowienia, ani nie mówili dokąd jadą.

– Dzień dobry – burczeli po niemiecku – Szczęść boże!

Chłopi nie rozumieli i spluwali ze złości.

– Tfu! Poganie! – żegnali się krzyżem – nie rozumieją katolickiej mowy.

Natomiast żydowscy karczmarze potrafili się porozumieć z obcymi. Zapraszali ich po żydowsku, aby się zatrzymali i odpoczęli w karczmach. Ale przejezdni odmawiali. Żaden z nich nie wypił ani kwaterki okowity, jak to zwykli czynić polscy chłopi. Wszystko, czego im trzeba było, wzięli ze sobą, nocowali na swoich wozach i nie wydali w podróży ani grosza.

Byli to tkacze z Niemiec, a po części z Moraw, jadący do Polski, aby się tu osiedlić.

Bo w Niemczech było dużo ludzi, a nie było chleba. W Polsce zaś było dużo chleba, a nie było sukna. Chłopi przędli sobie sami zgrzebne płótna ze lnu. Ale ludzie z miast, ubierający się w suknie z bawełnianych, wełnianych i jedwabnych tkanin musieli kupować zagraniczne towary. Całe zapotrzebowanie kraju na suknie dla ludności i na umundurowanie dla armii zaspokajali Żydzi, sprowadzając sukna z zagranicy, przeważnie Wisłą z Gdańska. Pieniądz nie pozostawał w kraju. Więc wysłano z Polski do Niemiec agentów, którzy namawiali niemieckich tkaczy, aby przybywali do Polski, gdzie im obiecano darmową ziemię na osiedlenie, gdzie będą mogli dobrze sprzedawać sukienne towary, które utkają, i gdzie będą mieli chleba do syta.

A tkacze, będący półchłopami, zabrali ze sobą do nowego kraju całe swoje mienie i dobytek, wszystko co posiadali: od kury do kota, od różgi dla karcenia dzieci do kądzieli, od harmonijki dla wygrywania przy święcie do sochy i pługa dla uprawy roli. Na lepszych, dostatniejszych wozach, jechali za nimi z żonami i dziećmi ubrani w długie szaty pastorzy, aby w obcym, katolickim kraju utrzymać w protestanckiej wierze swoje owieczki, i aby wychowywać dzieci i młodzież w wierze i posłuszeństwie wobec Boga i cesarza.

Przybysze ciągnęli do okolic nizinnych, w stronę Warszawy, ku obszarom od Żyrardowa do Kalisza, od Pabianic i Zgierza po Piotrków.

Część z nich osiadła w miasteczku Łódź, położonym nad wąską stojącą wodą – Łódką. Na uboczu od miasteczka, przy drodze, prowadzącej do sosnowych lasów, przybysze wybudowali sobie domki, założyli ogródki, zasadzili kartofle, wykopali studnie, zasiali zboże i ustawili swoje tkackie warsztaty.

W zamian za to rząd Królestwa Polskiego, podległy wówczas rosyjskiemu carowi, nadał im takie przywileje, jakich tylko zażądali. Nie pobierano od nich przez pierwsze lata podatków, nie powoływano ich do wojska, nie stawiano im przeszkód w obchodzeniu protestanckich obrządków, w zachowaniu mowy i obyczaju, a wreszcie zabroniono Żydom mieszkać w pobliżu ich osiedla, w pobliżu Łodzi, które nazwano Wilki, bo wilki ukazywały się tu nieraz w zimie, w wielkie mrozy.

Kilka dziesiątków Żydów mieszkało jednak w miasteczku, w jednej ciasnej uliczce. Wszyscy oni byli krawcami i wpuszczono ich do miasteczka tylko dlatego, że szyli odzież dla jego mieszkańców; innym zaś Żydom nie pozwolono tu mieszkać.

Żydowscy krawcy mieli swój cech; małą izdebkę, gdzie się schodzili na narady, jak zażegnać niebezpieczeństwa, które gotowały im wciąż cechy chrześcijańskie. W izdebce tej mieścił się ustawiony na stole zwykły, drewniany ołtarz ze starymi rodalami, i tu Żydzi odprawiali również modły. Nie mieli ani rabina, ani mykwy, ani cmentarza. Religijnych porad udzielał im wiejski nauczyciel, który uczył ich dzieci. Kiedy któraś krawcowa musiała pójść do mykwy, prowadził ją mąż za miasto do rzeki i tam pilnował, żeby jej podczas kąpieli nie napastowały wiejskie chłopaki. W zimie prowadzono kobiety do chłopskich stawów, gdzie musiały dokonywać rytualnych zanurzeń w lodowatej wodzie. Umarłych przewożono na chłopskiej furze do kahału w Łęczycy, do którego należeli Żydzi z miasta Łodzi.

Krawcy z Łodzi nie pozostawali w dobrych stosunkach z łęczyckim kahałem. Bo w Łęczycy było dużo biedaków, a zwłaszcza krawców, którzy nie mieli na kawałek chleba i głodowali od jednego do drugiego okresu, w którym Żydzi zwykli sprawiać sobie nowe kapoty. Krawcom z Łodzi powodziło się lepiej, więc łęczyccy krawcy przekradali się do Łodzi i przyjmowali robotę za niższą zapłatę. Ale łódzcy krawcy w obawie o swój własny chleb zadenuncjowali tych obcych przed naczelnikiem w miasteczku, że są nieuczciwymi partaczami i łaciarzami, którzy psują zarobki osiadłym i płacącym podatki rzemieślnikom. W podanej przez nich najpokorniejszej prośbie ofiarowali również na świece do kościoła i zakończyli, że zawsze będą prosić Boga za zdrowie jaśnie pana naczelnika. Na skutek tego posłał naczelnik strażników do obcych krawców i kazał im zabrać nożyce i żelazka. A tych, którzy się jeszcze potem zakradali do miasteczka, wiązano sznurami, smagano różgami i wypędzano.

Za to kahał łęczycki nie chciał grzebać umarłych, przywiezionych z Łodzi, dopóki krawcy za każdym razem nie zapłacili dukata. Ze złości przestali łódzcy krawcy płacić Łęczycy powinności kahalne. Więc łęczyccy kahalnicy spowodowali intrygami, że w mieszkaniach łódzkich krawców zakwaterowano żołnierzy.

Chrześcijańscy żołnierze zamieszkali w żydowskich domach, jedli „trefne”, krajali „koszernym” nożem wieprzowinę, używali sprośnych słów, zaczepiali kobiety i przedrzeźniali Żydów, jak się kiwają przy modlitwie. Na domiar wszystkiego zbliżało się właśnie Pesach – Święto Wyjścia. Łódzcy krawcy musieli odłożyć robotę, chociaż mieli mnóstwo zamówień dla chrześcijan na ich święta, i udali się do Łęczycy, prosić rabina, aby im zabrano żołnierzy z domów. Łęczyccy kahalnicy nie chcieli im zabrać żołnierzy, dopóki krawcy nie będą ich prosić o przebaczenie bez obuwia na nogach i w samych tylko pończochach. Krawcy zdjęli buty, stanęli w podartych pończochach i prosili kahalników o przebaczenie. Potem zapłacili kahalowi składki z procentami i przysięgli uroczyscie rabinowi przed rodalami i wobec świadków, że odtąd nie będą już denuncjować łęczyckich krawców.

Wtedy odwołano od nich żołnierzy i łęczyccy krawcy zaczęli napływać do Łodzi.

Ale na Wilkach, gdzie osiedlili się Niemcy, nie wolno im było pokazać się. Gdy czasem jakiś Żyd przechodził przez Wilki, lnianowłose chłopaki rzucali za nim kamieniami, szczuły nań psy i wrzeszczały:

–Eee, żydziaki!...

Rozdział 1

Łódzki kupiec i przełożony kahału reb Abraham Hersz Aszkenazy – którego nazywano reb Abraham Hersz Gdański, bo jeździł do Gdańska kupować wełny i jedwabie – siedział nad Gemarą bardzo zafrasowany i wyrывał włosy ze swojej długiej, czarnej, gęstej brody.

Nie o zarobek tak się frasował. Bo chociaż Niemcy w Łodzi po kilku dziesiątkach lat od czasu swego zamieszkania w mieście wciąż nie wpuszczali Żydów do siebie na Wilki i nie przyjmowali ich do tkackiego cechu, to jednak rychło powstała tu spora żydowska gmina, która miała już swego rabina, sędziego, rzeźników, szkoły, mykwę i cmentarz. Żydzi w Łodzi handlowali, zarabiali i dobrze sobie żyli.

Niemcy, osiadli w Polsce, wyrabiali bardzo liche i grube materiały, ciężkie tkaniny, które nie podobały się paniom dziedziczkom, ani oficerom, dygnitarzom i bogaczom. Dobre, piękne towary, cienkie wełny, błyszczące jedwabie i aksamity musiano wciąż jeszcze sprowadzać z zagranicy. Żydowscy kupcy jeździli pocztowymi wozami, a także powstała właśnie w tych czasach kolejka do Gdańska lub Lipska i przywozili drogie tkaniny. Inni przemycali towary w porozumieniu ze strażnikami przez niemiecką granicę, sprzedawali je i dobrze na nich zarabiali.

Niemieccy majstrowie denuncjowali Żydów przywożących do kraju towary z Niemiec. Nie mogli również ścierpieć, że żydowscy handlarze bawełną wydają bawełnę ubogim niemieckim rzemieślnikom do przerobu i w ten sposób obniżają cenę materiałów. Żydzi wydający bawełnę nie mogli tak jak Niemcy korzystać z kredytu w polskim banku, więc brakowało im nieraz gotówki i nie mogli zapłacić rzemieślnikom. Wydawali przeto kwitki, pisane po hebrajsku, opieczętowane czarnym stemplem z kamienia, i takie kwitki zastępowały pieniądze.

Żydowskie sklepiki, krawcy i szewcy, a także szynki przyjmowały od ubogich niemieckich tkaczy te kwitki, jak pieniądze. Każdego sobotniego wieczoru oddawali niemieccy tkacze wykonaną robotę swoim żydowskim pracodawcom. Dostawali w zamian hebrajskie kwitki, za które mogli kupić w sklepach wszystko, czego chcieli: jadło, mięso, a także piwo i wódkę. Niemieccy majstrowie oskarżyli przed urzędnikami tych Żydów, którzy zrobili sobie takie własne pieniądze. I urzędnicy zabronili Żydom wypuszczać kwitki. Ponadto wysłano agenta do Anglii, który zakupił tam dużo bawełny, aby wyrugować Żydów z handlu tym produktem. Ale zakupioną bawełnę rozkradziono. Urzędnicy dali się zjednać łapówkami, a niemieccy rzemieślnicy znowu wyrabiali towary dla Żydów i pobierali od nich w zamian hebrajskie kwitki. Ci sami urzędnicy, którzy wydawali zakazy przywożenia zagranicznych towarów, chętnie je kupowali u Żydów, tak samo jak chętnie brali łapówki od przemysłowców, którzy przywozili do kraju te zagraniczne towary bez cła.

Do najpoważniejszych bogaczy w miasteczku Łodzi należał reb Abraham Hersz Gdański. Kilka razy do roku jeździł do Gdańska. Sprowadzał najdroższe wełny i jedwabie i odsprzedawał je drobnym kupcom i wędrownym handlarzom. Właśnie po Święcie Losów powrócił z podróży, w której pozawierał doskonale interesy. Przywiózł piękne prezenty dla swojej żony i córeczek. Kupił również duży srebrny kielich do odmawiania modlitwy nad winem w podarunku dla swego rabina, cadyka z Warki, którego był zwolennikiem. W domu zastał wszystko w porządku. Z wszystkich tych spraw miał reb Abraham wiele pociechy.

Martwił się natomiast sprawami kahalnymi. Pomimo swego młodego wieku piastował już, dzięki swemu bogactwu, uczoności i pobożności, godność przełożonego kahału. A w kahalie nagromadziło się sporo trosk i kłopotów przez czas jego podróży handlowej.

Najpierw trzeba się było wystarać o pieniądze na zapomogi dla ubogich na święto Pesach. Bo nie tylko chodzący po domach żebracy, ale i wielu z rzemieślników nie miało, po całorocznym swoim harowaniu, na wyprawienie święta. Trzeba się było dla nich wystarać o macę, wino, jaja, mięso i smalec. Reb Abraham Hersz wyjął z kieszeni swoją czerwoną chustkę i poszedł z kilkoma znaczniejszymi obywatelami zbierać pieniądze po zamożnych domach.

Im więcej ich zebrano, tym więcej ich było potrzeba. Ubodzy obrywali drzwi w kahalnej izbie, nadchodzili z płaczem i pretensjami.

Następnie trzeba było wykupić więźniów, którzy siedzieli skuci kajdanami po więzieniach. Wówczas bowiem było w Polsce powstanie. Szlachta polska chciała zrzucić rosyjskiego cara i znowu osadzić na tronie polskiego króla. Powstańcy ukrywali się w lasach, a kozacy uganiali się za nimi po drogach i gościńcach, wyłapywali ich i wieszali. Po wsiach byli liczni Żydzi-arendarze, którzy wozili dla powstańców proch i naboje. Jeśli któregoś kozacy złapali, wieszali go na drzewie przy drodze. I właśnie przed świętami Pesach osadzono w łódzkim więzieniu kilku wiejskich Żydów. Wieźli oni beczki z jabłkami, pod którymi był ukryty proch i amunicja dla powstańców. W drodze natknęli się na kozaków, którzy ich obszukali, przekłuwali pikami słomę na wozach, ale nic nie znaleźli. Dopiero kiedy się rzucili rabować jabłka, znaleźli w beczkach proch strzelniczy. Kilku Żydów powiesili kozacy natychmiast, resztę sprowadzili skutych do Łodzi i osadzili w więzieniu. I teraz żony i krewni tych Żydów stoją w kahalie i lamentują, żeby powieszonych pogrzebać po bożemu, a żywych wykupić z kozackich rąk, bo grozi im również śmierć.

Na ten cel kahał potrzebował dużo pieniędzy. I trzeba było również wystarać się o macę dla uwieczonych, aby nie musieli jeść chleba w więzieniu.

Po trzeciej, znaleźli się w mieście grzesznicy. Gromada „oświeconych” Żydów, bogacze, którzy zanadto już porośli w sadło i chcieli z siebie zrzucić ciężar żydostwa, zwrócili się do władz, żeby im pozwolono założyć szkołę dla ich dzieci, gdzie je będą uczyć po „gojowsku”, gdzie będą siedziały z odkrytymi głowami i odejdą od ciężarów chederu – tradycyjnej, żydowskiej szkoły podstawowej, przeznaczonej tylko dla chłopców.

Władze niełatwo się na to zgodziły, ale bogaci oświeceni nie szczędzili pieniędzy, a za pieniądze wszystko można osiągnąć. Mówiono również, że ci sami Żydzi chcą sobie wybudować własną synagogę, taką, jaką mają niemieccy Żydzi za granicą, gdzie będą grały organy jak w kościele, i gdzie kantor będzie śpiewał jak ksiądz. Reb Abraham Hersz wiedział, że taka synagoga jest gorsza od kościoła. Bo do kościoła chodzą tylko chrześcijanie i przechrzty, a do takiej synagogi wstawią rodale, wciągną prostych Żydów, zbałamucą ich i sprowadzą na złą drogę.

Najbardziej jednak frasował się reb Abraham Hersz tym, że jego żona nie chciała się zgodzić, aby wyjechał na święta do rabina. Miał bowiem w zwyczaju wyjeżdżać na każde święto do Warki. Nie tylko na Nowy Rok, Dzień Pojednania i Zielone Świątki, ale też na Pesach. Teraz żona wyrzucała mu, że jej zakłóca święta, że będzie musiała pojechać do swego ojca, sędziego rabinackiego w Ozorkowie, aby jej odprawił seder, jak uchowaj Boże, wdowie. Reb Abraham Hersz niewiele sobie robił z kobiecych łez. Na to są – wiedział przecież – kobiety, żeby płakały. Ale tym razem rzecz się miała inaczej. Żona spodziewała się lada dzień, że zlegnie. Żywiła przekonanie, że urodzi się chłopiec, bo czuła płód po prawej stronie brzucha, więc nie chciała, aby uroczystość obrzezania odbyła się pod nieobecność męża.

– Ja tego nie przeżyję – płakała – ja nie przeżyję takiej hańby!

Z płaczu zachorowała i dostała gorączki, a reb Abraham Hersz nie mógł sobie miejsca znaleźć. Wciąż na nowo oglądał piękny, srebrny puchar, który kupił swojemu rabinowi w podarunku i ze złości szarpał zębami swoją czarną brodę.

Poza tym drogi do Warki nie były bezpieczne. Wszędzie penetrowali kozacy i bili przejeżdżających. Zdarzało się wielokrotnie, że katowali, a nawet wieszali niewinnych ludzi. Toteż odradzano mu wyjeżdżać w taki niebezpieczny czas.

Ale reb Abraham Hersz nie chciał słuchać żadnych perswazji. Za swego ostatniego pobytu w święto Święto Szałasów w Warce wspominał przed rabinem o swojej żonie, która właśnie zaszła w ciążę. Rabin powiedział mu wtedy:

– Abraham Hersz, twoi potomkowie będą bogaczami.

Reb Abraham zmarszczył czoło.

– Rabi – odezwał się z respektem – wolałbym, żeby byli bogobojni.

Rabin mu na to nie odpowiedział. A reb Abraham Hersz nie pytał o nic więcej, ale słowa te utkwiły mu w pamięci i wydały mu się złym dla niego prognostykiem. Teraz więc rozmyślał, że właśnie przed przyjściem na świat swego potomka powinien wybrać się do rabina i pomówić z nim o tym, że on pragnie, aby jego dzieci były dobrymi Żydami. O niebezpieczeństwie podróży nie myślał wcale. Reb Abraham Hersz nie był bojaźliwy. W swoich podróżach doświadczył już wielu przeszkód i różnych niebezpieczeństw. Powstrzymywało go tylko dziecko, które miało przyjść na świat. Kobiecie będzie bardzo przykro pozostać samej podczas połogu – rozmyślał. Nie będzie mogła odprawić uczt sederowej. A on sam nie będzie przy uroczystości obrzezania, jeżeli przy Boskiej pomocy urodzi się chłopiec. Jego teść, sędzia rabinacki przeklnie go za takie prowadzenie się.

A znów z drugiej strony, ciągnęło go do rabina. Czekali przecież na niego ubodzy chasydzy z uczelni przy synagodze, aby ich zabrał ze sobą w podróż na swój koszt. Będą go

wyśmiewać, że się dał namówić przez kobietę i pozostał w domu. Przez niego ci ludzie będą mieli smutne święta. A do tego kupił jeszcze dla rabina taki piękny puchar!

Jakże to będzie wyglądać, jeśli wręczy puchar pesachowy dopiero w Zielone Świątki? A najważniejsze, to jednak sprawa dzieci. Rabin powiedział, że będą bogaczami, ale on chciałby, żeby mu rabin życzył, aby jego dzieci były bogobojnymi Żydami. I jeżeli, Boże ustrzeż, jest im przeznaczone, żeby przez bogactwo mieli nie być dobrymi Żydami, to on dziękuje za bogactwo. Niech już raczej będą biednymi nauczycielami, ale uczciwymi Żydami. Musi pomówić o tym z rabinem, dopóki jeszcze czas. Gdyby ona, żona jego, nie była kobietą, ale człowiekiem nauki, to by go sama teraz zapędzała do rabina, zanim dziecko przyjdzie na świat. Ale czyż kobieta rozumie coś innego, jak tylko płacz? Lecz za to on jest mężczyzną, który lepiej rozumie, co należy robić, i który nie powinien się dać zmiękczyć babskim lamentem.

Tak rozmyślając zaczął pakować walizy, swoje duże, skórzane sakwojaże, które brał zwykle w podróż do Gdańska. Zapakował tałas i tefilin, atlasową kapotę, kilka ksiąg talmudycznych, srebrny puchar, bieliznę, i jak na prawdziwego chasyda z Warki przystało nie zapomniał również o kilku flaszkach czystej, paschalnej okowity. Potem posłał służącą Łaję-Surę po furmana.

– Abraham Hersz – płakała jego żona z odstającym brzuchem – ja tego nie przeżyję, ja nie przeżyję tej hańby!

Reb Abraham Hersz nie oglądał się na nią. Ucałował mezuzę na drzwiach i wyszedł. Stojąc już w drzwiach życzył żonie lekkiego porodu. A potem przypomniał sobie jeszcze i dodał, że jeżeli z Boską pomocą urodzi się chłopiec, to trzeba mu dać na imię Symche Binem.

– Słyszysz, koniecznie Symche Binem po rabinie z Przechowa, błogostawionej pamięci – krzyknął jeszcze z otwartych drzwi. – Ja tak chcę!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI